



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Bohdan Andrzej Krogulski

Dwie okupacje i repatriacja

Pod okupacją radziecką (1939-1941)

Kołomyja – niewielkie miasto galicyjskie, zamieszkane przez Polaków, Ukraińców i Żydów. Powiat Horodenka, województwo stanisławowskie. Południowo-wschodni zakątek przedwojennej Polski graniczący z Rumunią. Był rok 1939. Kończyły się właśnie letnie wakacje. Pierwszego września rano poszedłem z bratem Leonardem do szkoły ss. Urszulanek, gdzie już od dwóch lat pobieraliśmy nauki jako tak zwani „chłopcy z dobrego domu”. Ojciec nasz był urzędnikiem bankowym i od 1939 roku porucznikiem rezerwy, Matka – nauczycielką.

Po przyjeździe do szkoły dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Kazano nam iść do domu. Odtąd życie zaczęło się dla mnie toczyć szybciej. Obraz rodzinnego miasta zmieniał się jak w kalejdoskopie. Miałem wówczas niespełna jedenaście lat. Moja rodzina od kilku już lat zamieszkiwała w jednopiętrowej willi położonej w głębi sadu przy ulicy Grottgera 44. Jeszcze do niedawna widywaliśmy bardzo często kompanie żołnierzy powracających tędy z ćwiczeń poligonowych. Teraz, na początku września 1939 roku, koszary opustoszały. Cały 49 huculski pułk strzelców wyruszył na wojnę. Na dziedzińcu pozostały jedynie porzucane części uzbrojenia, jakieś stare ćwiczebne karabiny, maski przeciwgazowe. Sprawiało to przygnębiające wrażenie.

Któregoś dnia siedzieliśmy wszyscy przy stole w dużym pokoju: rodzice, starszy brat Leonard, młodszy – Janusz i ja. Służąca Hania podawała akurat obiad. Usłyszałem jak Ojciec powiedział do Matki, że otrzymał powołanie do wojska. O ile pamiętam miał się stawić w punkcie mobilizacyjnym we Lwowie. Spakował się, pożegnał z rodziną i wyszedł z domu. Parę dni później poszedł na wojnę jako szeregowy młodszy brat Ojca – Wiktor, który mieszkał razem z nami. Na niewielkim placu między naszym domem a koszarami widziałem ludzi przygotowujących okopy i schrony przeciwlotnicze.

Od początku wojny wiadomo było, że pieniądze stracą wartość. Przed odjazdem Ojca na front rodzice przywieźli do domu dorożką dwie czy trzy bele materiału na ubrania. Chodziły słuchy, że niemieckie samoloty zrzucają ładnie opakowane, lecz zatrute cukierki. W radiu codziennie podawano komunikaty na temat sytuacji na froncie. Słyszeliśmy o bombowcach nieprzyjacielskich niszczących polskie miasta.

Krótko przed wojną rodzice wynajmowali jeden pokój w naszym mieszkaniu podporucznikowi z pobliskich koszar. Oficer ten miał swojego ordynarna, który przychodził co jakiś czas prasować mu

mundur i czyścić buty. Podporucznik ów nazywał się Kręcicki. W czasie rozmów z moimi rodzicami powtarzał często, że Polska mając milionową armię nie odda Niemcom nawet guzika od munduru.

Głęboko w pamięci utkwilo mi pewne zdarzenie, które miało miejsce w naszym domu we wrześniu tego roku. Któregoś dnia siedziałem z Matką w kuchni, a moi bracia bawili się chyba w ogrodzie. W pewnym momencie w drzwiach ukazał się obcy człowiek z rewolwerem w rękę. Zaczął coś mówić pół po polsku – pół po ukraińsku. Zwrócił się do Matki z żądaniem: „Oddaj broń męża! Gdzie jest broń?!” Matka odpowiedziała, że nie mamy w domu żadnej broni. On jednak nie uwierzył. Oboje przeszli do pokoju. Matka wysunęła spod łóżka dużą, zieloną walizkę Ojca. Otworzyła ją. Wewnątrz był tylko galowy mundur oficerski. Ukraińiec powywracał wszystkie rzeczy, ale broni nie znalazł. Przez cały czas rewolwer trzymał skierowany w stronę Matki. Byłem przerażony! Po pewnym czasie opuścił nasze mieszkanie.

Od początku września w domu zaczęło się robić pusto. Ojciec i stryj poszli na wojnę. Wyjechał również Kręcicki. Pozostało nas pięcioro: Matka, ja z braćmi i służąca Hania. Pewnego ranka obudziły mnie jakieś dziwne odgłosy dochodzące od strony ulicy. Wybiegłem z bratem na podwórze. Stało tam pełno dorożek i samochodów. Ludzie odpoczywali na ziemi. Matka ze służącą zaczęły gorączkowo przygotowywać im ciepłe posiłki i coś do picia. Dowiedziałem się, że byli to uciekinierzy z zachodniej i centralnej Polski. Jechali w kierunku granicy. Widok był zatrważający. Teraz dopiero zrozumiałem czym jest wojna. Zgromadzeni na podwórzu ludzie byli bardzo nerwowi, co chwilę patrzyli w niebo w obawie przed samolotami niemieckimi. Właściciel willi, w której mieszkaliśmy – Żyd o nazwisku Schoercher (?), chodził z żoną między nimi i nakłaniał, aby jak najszybciej stąd odjechali. Bał się, że mogą ściągnąć na jego dom jakieś nieszczęście. Wieczorem tego samego dnia wszystkie dorożki, furmanki i samochody odjechały.

W radiu mówili o przystąpieniu do wojny z Niemcami Francji i Anglii. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że przy ich pomocy szybko pokonamy wroga.

W połowie września chodząc po ulicach Kołomyi zauważyłem ze zdziwieniem, że jest tu pełno polskich żołnierzy. Na każdym kroku spotykałem ludzi w mundurach. Dopiero później dowiedziałem się, że przez dzień lub dwa stacjonował w naszym mieście Sztab Główny Wojska Polskiego z marszałkiem Rydzem-Smigłym. Zatrzymał się tu w drodze do granicy rumuńskiej.

Minął drugi tydzień września. Przez cały czas utrzymywała się słoneczna pogoda, która ułatwiała Niemcom prowadzenie walki z powietrza i bombardowanie polskich miast. Wówczas jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z ogromu nieszczęść, jakie spadły na nasz kraj. W domu nastąpiła wielka radość – wrócił Ojciec. Przyjechał pociągiem ze Lwowa. Powiedział Matce, że nie znalazł tam swojej jednostki wojskowej, gdyż jeszcze przed jego przybyciem wyruszyła na front. Pytał nas o stryja Wiktora, ale nie wiedzieliśmy co się z nim dzieje.

Przez miasto codziennie przewalały się tłumy uciekinierów. Często przychodzili do naszego domu oficerowie polscy. Ojciec dawał im cywilne ubrania i wysyłał ich w stronę granicy, albo do Lwowa z jakimiś instrukcjami. Dowiedziałem się od Matki, że pełnił rolę łącznika. Jeden uciekinier zatrzymał się dłużej w naszym domu. Nazywał się Michotek. Prowadził z Ojcem długie rozmowy. Pamiętam, że był człowiekiem bardzo wesołym. Wieczorami grał nam na mandolinie stryjka Wiktora.

W czasie swoich spacerów po ulicach stwierdziłem, że większość spośród uciekających do Rumunii to ludzie zamożni, skoro stać ich było na samochody. Moja rodzina żyła na przyzwoitym poziomie, ale Ojciec posiadał tylko motocykl „Orzeł”, którym przed wojną odwoził mnie na wakacje do krewnych.

Po jakimś czasie powrócił do domu stryj Wiktor. Służył w kompanii artylerii. Opowiadał nam straszne historie, co się dzieje na terenach zajętych przez Niemców i o swoich przeżyciach z frontu. Wojna zbliżała się ku końcowi. W Kołomyi przez cały wrzesień nie słyszałem ani jednego wystrzału i tylko raz w oddali widziałem niemiecki samolot. Skończyły się wszystkie przyjemności. Do niedawna z podziwem oglądałem paradne musztry naszych żołnierzy maszerujących co niedziela do kościoła. Przed wojną lubiłem chodzić z Mamą na targ. Po drodze zawsze kupowała mi lizaka albo loda. Teraz wszystko się skończyło...

Zacząła się okupacja radziecka. Wczesną jesienią widziałem wojska radzieckie ciągnące się długimi kolumnami wzdłuż naszej ulicy w kierunku koszar. Żołnierze wyglądali bardzo nędźnie. Ubrani byli w długie, szare, wełniane płaszcze, przez plecy mieli przewieszane stare karabiny na szmacianych paskach lub zwykłych sznurkach. W naszym domu wydzielono jeden pokój dla radzieckiego oficera. Pamiętam, że nazywał się Bratkowski i pochodził z polskiej rodziny mieszkającej gdzieś na Syberii. Ojciec prowadził z nim długie rozmowy. Był to bardzo miły, młody człowiek. Nieraz Mama albo służąca podawała mu śniadanie do pokoju. Mieszkał u nas krótko – miesiąc, może dwa. Następnym lokatorem był jakiś wyższy oficer radziecki, chyba major. On też często i chętnie rozmawiał z Ojcem. Zachowywał się porządnie. Wkrótce jednak i jego gdzieś przenieśli.

Nastała mroźna zima. Zacząłem chodzić do pobliskiej szkoły, w której uczono nas języka rosyjskiego. Zostałem przyjęty do klasy czwartej. W chłodne dni podawano nam gorące mleko. W naszym domu zamieszkał jakiś Rosjanin ze swoją rodziną – żoną, dwojgiem dzieci i chyba siostrą żony. Był to

funkcjonariusz NKWD. Zajmowali pokój i panoszyli się po kuchni. Żona z siostrą chodziły po mieszkaniu tylko w bieliźnie (w halkach), sądząc, że są to jakieś wytworne sukienki. Rosjanin był bardzo ponury i rzadko rozmawiał z Ojcem. Jego obecność odczuwaliśmy nieprzyjemnie.

Zaczęły chodzić słuchy, że władze radzieckie wywożą polskie rodziny na Syberię. Spośród naszych znajomych aresztowano panią Boberową – żonę oficera, który nie wrócił z wojny. Wywieziono ją na Syberię. Matka i mała córeczka pani Boberowej zdołały się wcześniej ukryć. U nas w domu panowała ponura atmosfera. Obawialiśmy się, że któreś nocy mogą i po nas przyjechać. Ojciec w tym czasie dostał pracę w fabryce, w pobliżu dworca. Mama nie pracowała.

Na wiosnę 1940 roku Mama dostała wiadomość z Obertyna od jakiegoś rolnika o aresztowaniu jej ojca a naszego (mojego i braci) dziadka. Dziadek był adwokatem, miał swoją kancelarię. Razem z nim aresztowano ciotkę Marię Skibską i mojego kuzyna, Staszka Dolińskiego. Dowiedzieliśmy się, że pociąg, którym jadą do Kazachstanu stoi właśnie na stacji w Kołomyi. Mama pospieszenie zapakowała do torby żywność, odzież zimową i inne niezbędne rzeczy. Było to przed południem. Ojca i braci nie było wtedy w domu. Poszedłem z Mamą na dworzec kolejowy. Już z daleka zobaczyliśmy stojący na boczniczy długi pociąg. Składał się z tzw. „krowiaków” – wagonów towarowych z małymi, zakratowanymi okienkami. Grupy ludzi próbowały się zbliżyć do pociągu, którego strzegli żołnierze radzieccy. Słyszałem krzyki i płacz. Mama prosiła jednego z wartowników, żeby pozwolił jej podejść bliżej i przekazać paczkę – niestety bezskutecznie. Zresztą odnalezienie naszej rodziny wśród setek lub tysięcy aresztowanych wydawało się niemożliwe. Zrozpaczeni powróciliśmy do domu.

W lecie na moim terenie zabaw, nad stawem obok cegielni, pojawiły się grupy chłopców rosyjskich. Poszedłem tam kiedyś z bratem Lonkiem i kolegą – Witkiem. Kilku Rosjan zbliżyło się do nas z wyraźnym wrogimi zamiarami. Kazali nam się stamtąd wynosić i stwierdzili, że jest to ich teren.

Codziennie rano szedłem do szkoły z kolegami ulicą Grottgera, przechodziłem przez kładkę nad strumieniem, a następnie mijałem szkołę ukraińską. Mieściły się w niej także jakieś warsztaty stolarskie. Uczniowie tej szkoły wiedząc, że jesteśmy Polakami, obrzucali nas z okien i podwórza kamieniami. Musieliśmy się tamtędy przemykać chyłkiem. Bardzo przykro odczuwaliśmy nacjonalizm ukraiński.

Mijał rok 1940. Od ciotki Skibskiej zaczęły przychodzić pierwsze listy z Kazachstanu. Przez długi czas ciotka ukrywała przed nami wiadomość, że dziadek w parę tygodni po przyjeździe na Sybir zmarł. Mama raz w miesiącu sporządzała paczkę z żywnością, którą następnie zaszywała w płótno. Na tym płótnie ołówkiem chemicznym pisała adres i wysyłała do Kazachstanu.

Święta Bożego Narodzenia 1940 roku nie były już takie radosne jak dawniej. Na ogromnym drzewku nie było czekoladowych cukierków i innych słodczy. Z komunikatów radiowych wynikało, że Niemcy walczyli w Jugosławii i na Zachodzie. Jako młody chłopak nie rozumiałem polityki i mało się nią zajmowałem. Lubilem piłkę nożną, a moją pasją było zbieranie znaczków pocztowych. Rozczytywaliśmy się z bratem Lonkiem w powieściach młodzieżowych. Przeczytaliśmy między innymi trylogię Sienkiewicza. Na naszym terenie zabaw w ogrodzie odtwarzaliśmy sceny z powieści. Lonek był Wołodyjowskim, sąsiad Witek – Skrzetuskim, a ja Kmicicem.

Któregoś dnia rano pod koniec czerwca 1941 roku stwierdziliśmy, że Rosjan już nie ma w Kołomyi. Uciekli przed Niemcami. Rodzina, która z nami mieszkała też załadowała się rano na jakąś ciężarówkę i wyjechała bez pożegnania. Ludzie mówili, że na północy w oddalonym od miasta kościółku Rosjanie trzymali worki z mąką. Usłyszawszy to, nasza służąca Hania wzięła taczkę i poszła razem ze mną w to miejsce. Była to bardzo dzielna kobieta w średnim wieku. W całym rozgardiaszu, jaki panował przed kościołem, udało się jej wydobyć z tłumy worek mąki. Wrzuciła go na taczki i z moją pomocą dotarła do domu. Nasza zdobycz była w owym czasie wielkim skarbem.

Chodziły słuchy, że do wycofujących się z Kołomyi Rosjan z ukryć strzelali ukraińscy nacjonaści.

Okupacja niemiecka (1941-1944)

W końcu czerwca 1941 roku na ulicach pojawili się pierwsi żołnierze niemieccy na motorach. Byli krótko w mieście – dzień, może dwa. Potem w opuszczonych koszarach usadowili się Węgrzy, którzy razem z Niemcami ścigali Rosjan. Przez całe lato codziennie chodziłem do koszar z braćmi i kolegami. Do blaszanych baniek, które ze sobą zabieraliśmy, Węgrzy nalewali nam smaczną zupę, obficie zaprawioną papryką. Przynosiliśmy ją do domu i tu jedliśmy z całą rodziną. I znów – tradycyjnie, w jednym z naszych pokojów zamieszkał oficer. Tym razem węgierski, przysłany z koszar. Pamiętam, że miał aż dwóch ordynansów, młodych żołnierzy, którzy na zmianę przychodzili go obsługiwać. Często rozmawiał z moim Ojcem (po niemiecku) o polityce. Wkrótce oficer wyprowadził się od nas, gdyż razem ze swoim pułkiem wyruszył na front.

Jak się miało okazać, najbliższa przyszłość gotowała nam ciężkie czasy. Jeszcze podczas pobytu Rosjan, gdy brakowało żywności, rodzice sprzedali fortepian, na którym uczyliśmy się grać przed

wojną. Dostali za niego 5 kg smalcu. Dywan z dużego pokoju też został zamieniony na żywność. Po wkroczeniu Niemców właściciel naszego domu – Żyd Schoerker – zaczął nosić na ramieniu białą opaskę z gwiazdą Dawida. Wszyscy Żydzi byli stopniowo umieszczani w getcie, które utworzono w centrum miasta. Obejmowało ono kilka ulic. Po jakimś czasie Schoerkerów też zabrano do getta.

Zimą został aresztowany nasz Ojciec – podobno za pomaganie Żydom w ukrywaniu się, ale być może był inny powód. Nastaly ciężkie dni. Nie mieliśmy co jeść. Stryj Wiktor jeździł na rowerze do pobliskich wsi z towarem do przehandlowania za żywność. Zawsze przywoził coś do jedzenia. Pamiętam, że ja z Mamą chodziłem do wsi ukraińskich. Mama zamieniała na żywność biżuterię, ubrania swoje i Ojca i wszystko co się dało. W wiosenne, chłodne dni chodziliśmy po domach prosząc o kupienie tego, co mieliśmy do zaoferowania. Było to bardzo poniżające. Ukraińcom dobrze się powodziło. Mieli wszystko. Często wracaliśmy do domu zaledwie z kilkoma jajkami lub woreczkiem mąki czy kaszy.

Dostaliśmy od kogoś wiadomość, że Ojciec przetrzymywany jest w pobliskim więzieniu. O ile pamiętam przy ulicy Romanowicza. Chodziliśmy wolno spacerkiem po chodniku naprzeciw więzienia z nadzieją, że nas zobaczy. Pewnego dnia, gdy tam przechodziliśmy z Lonkiem i Mamą, usłyszeliśmy znaną nam melodię, którą Ojciec czasem grywał na fortepianie. W tym momencie byliśmy pewni, że to on ją gwizdże. Od tego czasu prawie codziennie chodziliśmy wzdłuż ulicy Romanowicza i zawsze słyszeliśmy tę samą melodię. W bramie więzienia podawaliśmy strażnikom menażkę dla Ojca, do której Mama wkładała coś do jedzenia, np. gotowane jajka, ziemniaki itp.

Pewnie z powodu panującego głodu przyjechała do nas ze Lwowa babka Kowalska (matka naszej Mamy). W rozmowie z Mamą ustaliła, że weźmie nas do siebie, a później pojedziemy do ciotki Krysi do Rzyceek koło Rawy Ruskiej, żeby jakoś przetrzymać ciężki okres. Jeszcze wczesną wiosną młodszego brata, Janusza, stryj Wiktor odwiózł na wieś do Kamiennej, gdzie mieszkała siostra Ojca, Frania z mężem. Z babką Kowalską, Mamą i Lonkiem spakowaliśmy się któregoś wiosennego dnia i wyjechaliśmy do Lwowa. Była to moja pierwsza tak długa podróż pociągiem. Od dworca kolejowego pojechaliśmy tramwajem do innej części miasta. W domu czekała na nas siostra Mamy, Wanda. Przyszliśmy tam zmarznęci i wygłodnieli. Ciotka Wanda mieszkała w ciasnym pokoiku zawałonym meblami, bo przeniosła się tu z innego, większego mieszkania. Miała malutkiego syna, Andrzeja. Na drugi dzień po naszym przybyciu postanowiono, że na zmianę z Lonkiem będę wyjeżdżał do Rzyceek do ciotki Krysi. Lonek chciał pierwszy zostać u ciotki Wandy, więc mnie babka zawiozła do Rawy Ruskiej. Stamtąd przypadkowo napotkany wozem przez błoto dojechaliśmy do Rzyceek. W wiejskiej chacie krytej słomą i przedzielonej na pół mieszkały dwie rodziny: w jednej części matka z dwoma dorastającymi synami, w drugiej – ciocia Krysia z wujkiem Dołkiem i małą córeczką, Stasia. Mama miała jechać z powrotem do Kołomyi, aby być blisko uwięzionego Ojca i dostarczać mu żywność.

Jak się okazało w domu wujka nie dano mi próżnować. Musiałem pomagać wujkowi przy cięciu drzewa na opał, pielęgnować grządki w ogrodzie, a także na zmianę z chłopcami sąsiadki co drugi dzień wychodzić wcześnie rano na pastwisko z krowami, gdzie zawsze zabierałem książkę do czytania. Wujek był nauczycielem w wiejskiej szkole. Kazał mi tam przychodzić na naukę. W klasie było nas kilkanaścioro. Czasem popołudniami wujek zabierał mnie ze sobą, gdy szedł w odwiedzinach do proboszcza, z którym grywał w karty.

Poprzez Rzyceki, przez pola szedł tor kolejowy do miejscowości Bełzec, gdzie utworzono obóz dla Żydów. Pewnego dnia, będąc u księdza z wujkiem, zobaczyłem małą dziewczynkę – jak się okazało Żydówkę. Ksiądz wyjaśnił nam, że ktoś ją znalazł w polu przy torach i przywiózł do plebanii. Z opowiadań dziewczynki wynikało, że została wyrzucona przez swoją mamę z pociągu jadącego do obozu.

Bardzo tęskniłem za Ojcem, Matką i braćmi. Pamiętam, kiedyś do naszego domu podeszło dwóch niemieckich żandarmów z karabinami. Byliśmy wszyscy wystraszeni, ale wujek wyszedł do nich i zaczął rozmawiać po niemiecku. Okazało się, że byli na rutynowym patrolu i prosili, żeby im dać coś do jedzenia. Ciocia Krysia i druga gospodyni wyniosły im jajka, które zapakowali do torby, po czym odeszli.

Minęło parę miesięcy. Przyszło lato i czas na mój wyjazd do Lwowa. Przyjechała po mnie babka Kowalska. Razem pociągiem dotarliśmy do domu. Przez chwilę widziałem się z bratem Lonkiem, ale jeszcze tego samego dnia babcia pojechała z nim do Rzyceek. Ja zostałem z ciotką Wandą. Moim zadaniem było codzienne chodzenie z bańką po mleko dla małego Andrzejka. Będąc głodny często nie mogłem się powstrzymać i trochę wypijałem po drodze. Ciotka sama nie mając wiele, dzieliła się ze mną jedzeniem. Była to przeważnie kasza gryczana. Miałem sąsiada, mojego rówieśnika, z którym często się widywaliśmy i rozmawialiśmy. Na ogół jednak byłem samotny. Pamiętam, że idąc z bańką po mleko wchodziłem na pagórek, z którego mogłem obserwować cmentarz Łyczakowski. Po drugiej stronie muru widziałem ludzi przewożących taczkami trupy. Widok był wstrząsający!

Ciotka Wanda zmieniła mieszkanie. Przeprowadziliśmy się na pobliską ulicę. Nazywała się Henryka Kadyego. Tam też zajęliśmy mały pokoik. Mieliśmy kuchenkę elektryczną, na której ciocia przygotowy-

wała posiłki. Nie pamiętam czy pracowała. Zawsze gdy wychodziła z domu pozostawiała mi Andrzeja do pilnowania.

Naprzeciw naszego domu stała dwu- lub trzypiętrowa kamienica. Pamiętam, że kiedyś w pobliżu zebrało się dużo ludzi, pojawili się niemieccy żandarmi. Podobno gonili jakiegoś Żyda, który wbiegł do kamienicy i dostał się na dach. Nie wiem, jak się ta historia skończyła, w każdym razie bardzo mną wstrząsnął widok żandarmów polujących na człowieka jak na zwierzynę.

Dostaliśmy wiadomość od Mamy z Kołomyi, że Ojciec został wypuszczony z więzienia. Wyjechał na wieś, żeby się trochę dożywić i wkrótce miał do nas przyjechać. Mama i Ojciec planowali przenieść się do Lwowa.

Był wrzesień 1942 roku. Ojciec zapisał mnie do jakiejś szkoły, gdzie krótko chodziłem. Często spacerował ze mną po mieście, dużo rozmawialiśmy. Byłem bardzo szczęśliwy, że znów jesteśmy razem. Poinformował mnie, że szuka jakiegoś mieszkania, w którym moglibyśmy zamieszkać całą rodziną. Chodziłem z nim po wszystkich znajomych. Byliśmy u państwa Paszkiewiczów, Ukraińców, znajomych Ojca jeszcze sprzed wojny z Kołomyi. Przyszliśmy do nich na smaczny, proszony obiad, jakiego już dawno nie jadłem. Raz czy dwa razy sam pojechałem do państwa Rogalów. Ojciec podał mi adres i kazał jechać tramwajem. Było to dość daleko. Od ostatniego przystanku szło się jeszcze kawałek do willi. Trochę mi było głupio, bo Ojciec mówił: „pojedziesz tam, to pani Rogalowa da ci obiad”. Zadzwoiłem do drzwi. Otworzyła mi pani Rogalowa. Po przywitaniu wprowadziła mnie do pokoju i poczęstowała rosółem. Oczywiście zjadłem ze smakiem, podziękowałem i wróciłem tramwajem na ulicę Kadyego, gdzie nadal mieszkalem z ciotką Wandą.

Wkrótce dzięki Ojca zapobiegliwości i pomocy państwa Paszkiewiczów otrzymaliśmy mieszkanie przy ul. Szaszkiewiczza. Była to mała uliczka, poprzeczna do Sapiehy, przy więzieniu Łackiego. Zamieszkaliśmy na parterze budynku w czterech pokojach z łazienką. Przyjechała do nas Mama z Kołomyi z młodszym bratem, Januszem. Rodzice sprowadzili z dawnego mieszkania część mebli. Od ciotki Krysi przyjechał Lonek. Byliśmy w komplecie. Wprowadziła się do nas także siostra Mamy, Wanda z Andrzejkiem. Pamiętam, że Ojciec otrzymał pracę w firmie „Landwirtschaftliche Zentralstelle Distriktstelle Galizien”. Mama z ciotką zajmowały się domem. Mnie i starszego brata zapisano do pobliskiej szkoły, przy kościele św. Magdaleny. Chodziliśmy do jednej klasy. Oprócz książek zabieraliśmy do szkoły kubki, bo byliśmy tam dożywiani zupą. Na rogu ulicy była jeszcze jedna szkoła zamieniona na szpital wojskowy. W drodze na lekcje widywaliśmy rannych, zabandażowanych żołnierzy niemieckich. Wygrzewali się na trawniku przed budynkiem. Byli tutaj dowożeni pociągami z frontu wschodniego.”

Nadszedł czerwiec 1943 roku. Kończył się rok szkolny. Ukończyłem z bratem 7 klasę szkoły podstawowej. Janusz uczył się kilka klas niżej. Pamiętam, że w starym, przedwojennym atlasie, na jednej z map zaznaczaliśmy na kolorowo linię przesuwanego się frontu.

Jak wspominałem, w pobliżu naszego domu mieściło się więzienie Łackiego. Naprzeciwko był skwer z ławkami. Szybko zauważyłem, że codziennie przychodziło tam dużo dzieci z rodzicami. Starsi ludzie, kobiety i mężczyźni, siadali na ławkach i pilnie obserwowali okna zasłonięte deskami po drugiej stronie ulicy. Pewnego razu, wracając tamtędy ze szkoły, zostałem zaczepiony przez jakąś kobietę. Wytłumaczyła mi, że jej mąż wyrzucił z okna więziennego gryps, który jednak nie doleciał do skweru, tylko upadł na środek ulicy między szyny tramwajowe. Błagała mnie, żebym postarał się jej to przynieść. Po drugiej stronie ulicy chodził niemiecki wartownik. Widząc łzy w jej oczach nie mogłem odmówić. Zostawiłem na ławce swoją torbę i powiedziałem kobiecie, żeby na mnie poczekała. Poszedłem w górę ul. Leona Sapiehy i zastanawiałem się, jak zdobyć ten gryps. Widziałem tą białą kuleczkę między kostkami jezdni. W pewnym momencie zauważyłem, że z bocznej ulicy wychodzi człowiek ciągnąc skrajem jakiś dwukołowy wózek z dyszlem. Błyskawicznie, nie namyślając się, podszedłem do niego od tyłu. Jedną ręką oparłem się o wózek. Człowiek ten obejrzał się. Widocznie myślał, że chcę mu pomóc, bo nic nie powiedział. Szliśmy tak w dół ulicy w kierunku więzienia. Z daleka obserwowałem, w którym miejscu jest wartownik. Chodził spacerkiem po chodniku do końca budynku i z powrotem. Tak się szczęśliwie ułożyło, że zjeżdżając tym wózkiem trafiłem na moment, kiedy był do nas odwrócony plecami. Gdy byliśmy w pobliżu więzienia puściłem wózek, schyliłem się i szybko złapałem gryps, chowając go do kieszeni. Zszedłem na bok, na chodnik, ostrożnie obszedłem skwer dookoła i zbliżyłem się do kobiety. Ona zerwała się z ławki z moją torbą. Podeszła do mnie i spytała: „Masz, synu?!”. Odpowiedziałem: „Tak, mam!”. Powiedziała, żebym z nią poszedł do bramy jakiejś kamienicy, bo tu mógł nas zauważyć wartownik. W bramie dałem jej gryps. Wzięła go ode mnie trzęsącymi się rękoma i schowała do torebki. Miała łzy w oczach. W tym momencie wyjęła plik banknotów i podała mi ze słowami: „Masz synu – za to, że załatwiłeś”. Ja zdziwiony odmówiłem przyjęcia pieniędzy, szybko się pożegnałem i poszedłem do domu. Byłem dumny, że mogłem komuś pomóc w nieszczęściu.

W domu niezbyt dobrze nam się powodziło, nie zawsze było co jeść. Najczęstszą potrawą na obiad czy kolację były tzw. „paluszki” – pokrojone kawałki ciasta, gotowane i polewane jakimś tłuszczem. Od czasu do czasu przychodziła od stryjka Wiktora z Kołomyi paczka z kaszą. Chcąc pomóc rodzicom w utrzymaniu domu postanowiliśmy z braćmi, że zajmiemy się sprzedażą papierosów na pobliskim

targu. Ojciec załatwiał je po znajomości hurtowo w kartonach od pewnej kobiety. Przychodziliśmy z tym do domu i zawijaliśmy papierosy w papierki po 10 sztuk. Obładowani takimi paczuszkami jechaliśmy tramwajem na bazar zamarstynowski. Był to dość duży plac, zawsze zapelniony przez handlarzy. Przeciskaliśmy się z braćmi przez ten tłum, mówiąc niezbyt głośno: „lewenty, machorkowe, sporty...” (marki papierosów). Na bazarze u handlarek można było kupić gorący posiłek. Czasami posilaliśmy się u nich za zarobione pieniądze. Wśród tłumu przechadzał się często patrol niemiecki. My jako mali chłopcy nie mogliśmy ich w porę dostrzec. W takich sytuacjach pomagali nam starsi ludzie. Informowali nas, z której strony nadchodzą Niemcy, żebyśmy mogli uciec. Handel zajmował nam kilka godzin.

Kiedyś Mama powiedziała, że wybiera się do siostry do Rzyczek. Chciała przywieźć trochę żywności. Zgłosiłem się na ochotnika do pomocy. Pojechaliśmy do Rawy Ruskiej, stamtąd przez ponad godzinę szliśmy przez las. W końcu dotarliśmy na miejsce. Na drugi dzień przed południem odprowadził nas wujek Dołek. Szliśmy obładowani żywnością. Do domu dotarliśmy szczęśliwie. Tym razem nie było w pociągu kontroli.

Ojciec po powrocie z pracy jeździł wieczorami po mieście do znajomych i udzielał lekcji angielskiego. Wracał do domu bardzo późno. Nie mówił mi tego, ale ja domyślałem się, że działa w Armii Krajowej, bo czasem pod wieczór przychodzili do niego jacyś mężczyźni. Krótko rozmawiali i wychodzili. Jednego z nich pamiętam – nazywał się Kuźmiński i był chyba sierżantem, podwładnym Ojca. Ojciec był porucznikiem. W czasie takich spotkań zasłaniali okna czarnymi, papierowymi zasłonami. Mnie prosili, żebym siadł do pianina i coś grał. Grałem tak przez cały czas ich rozmowy jakieś mazurki czy inne utwory znane ze słuchu lub odczytywane z nut.

Któregoś popołudnia ujrzałem wstrząsający widok. Stojąc na skwerze widziałem długą kolumnę jeńców radzieckich wyprowadzanych z cytadeli, ubranych w łachmany i wygłodniałych. Prowadzili ich uzbrojeni Niemcy z karabinami przygotowanymi do strzału.

Ludzie ukradkiem rzucali jeńcom kawałki chleba lub cokolwiek do jedzenia. Oni natychmiast schylali się po to lub łapali w powietrzu i wkładali do ust.

Naprzeciw naszych okien znajdowała się szkoła ukraińska – chyba muzyczna, bo często słyszeliśmy stamtąd dźwięki muzyki. Mieściło się tam również kino. Stróż tego budynku, Ukrainiec, lubił mnie i braci i puszczał nas bocznymi wejściami na wyświetlane filmy – przeważnie komedie niemieckie.

Kiedyś Ojciec kazał mnie i Lonkowi iść razem z nim do jakiegoś mieszkania, którego właściciel został aresztowany czy uciekł. Mieszkanie miało być opróżnione. Ojciec wziął wózek i razem zaczęliśmy wywozić książki. Były to przeważnie powieści kryminalne. W domu została nimi zapchana cała biblioteczka.

Skończyła się żywność i trzeba było znów jechać do Rzyczek. Tym razem Mama się źle czuła, więc postanowiłem pojechać sam. Wybrałem się z plecakiem tą samą trasą co wcześniej. W Rzyczkach załadowano mi plecak różnymi artykułami. W drodze powrotnej, gdy szedłem prawie szczęśliwy ulicą do domu we Lwowie, z bocznej bramy wyskoczył żandarm niemiecki. Wciągnął mnie do bramy i powiedział łamaną polszczyzną: „Co tu masz?”. Miałem mąkę, jakieś jarzyny i dość dużo jaj. Tymi jajami żandarm napakował obie kieszenie płaszcza i puścił mnie wolno.

Innym razem wracałem z targu, gdzie sprzedawaliśmy z braćmi papierosy. Mieliśmy przy sobie część towaru, którego nie udało się sprzedać. Jechaliśmy tramwajem do domu stojąc na końcu pojazdu. Na jednym z przystanków z przodu wsiadło dwóch żandarmów. Byliśmy prawie pewni, że jak przejdą na tylny pomost, to zauważą paczki papierosów ukryte przez nas pod płaszcami. Gdy zaczęli się zbliżać w naszym kierunku, starszy brat krzyknął: „wyskakujemy!”. Lonek zrobił to pierwszy, potem ja. Na końcu próbował wyskoczyć Janusz. Odbił się od stopnia, ale zaczepił o coś połą płaszcza. Papierosy rozsypały się na ulicy. Żandarmi popatrzyli w naszym kierunku i tylko pogrozili nam ręką. W domu pieniądze zarobione na papierosach oddaliśmy Mamie.

Przyszedł wrzesień 1943 roku. Starszy brat był już w tym wieku, że groziło mu wywiezienie do Niemiec na roboty, jeżeli nie będzie miał dokumentu świadczącego o zatrudnieniu tu na miejscu. Ojciec

postarał mu się o pracę w prywatnej firmie elektronicznej. Lonek zaczął tam chodzić codziennie na parę godzin. W warsztacie uczył się od podstaw elektrotechniki. Mnie Mama zapisała do szkoły artystycznej na ul. Snopkowskiej. Po ukończeniu w czerwcu siódmej klasy nie mogliśmy już z bratem uczyć się dalej. Oprócz szkół podstawowych były jeszcze tylko zawodowe, np. szkoła przemysłu artystycznego, do której zostałem zapisany. Na początku musiałem zdać egzamin. Na wielkim arkuszu brystolu kazano mi kawałkiem węgla namalować stojącą na stole wazę. Widocznie zadanie wykonałem dobrze, gdyż zostałem przyjęty. Szkoła była dość daleko od domu. Trzeba było jechać tramwajem ulicą Pelczyńska i przesiąść się w jeszcze jeden na ul. Snopkowskiej. Lekcje odbywały się w dużej sali. Uczyło się tam sporo młodzieży – około 40 osób. Wykładowcy próbowali czegoś nauczyć, ale wydaje mi się, że głównym celem było uchronienie nas przed wywiezieniem na roboty. Tu poznałem Leszka Piaseckiego, który został moim najlepszym kolegą. Popołudniami po zajęciach szliśmy z kilkoma innymi,

najlepszymi kolegami do pobliskiego parku. Dowiedziałem się, że niedaleko jest pawilon, jakby duży namiot, gdzie można oglądać Panoramę Raclawicką.

Gdy ja w domu odrabiałem lekcje, Leonard przychodził zmęczony z pracy. Kiedyś dostaliśmy z Rawy Ruskiej bardzo przykry list od wujka Dołka i ciotki Krysi. Donosili nam, że którejś nocy zostali napadnięci w Rzyczkach przez bandytów ukraińskich. Wujek wykazał dużą przytomność umysłu i zdążył ukryć ciotkę z córką na strychu. To samo chciał zrobić z chorą babką, która jednak nie wyraziła zgody. Wszedł więc na strych i wciągnął tam drabinę. Ukraińcy wdarli się do domu, zrabowali pościel i inne rzeczy, ale babce nic nie zrobili. Wujek na górze miał siekiere i był gotów na wszystko w obronie rodziny. Po tym zdarzeniu rodzina przeniosła się z Rzyczek do Rawy Ruskiej. W jakiś czas później pojechałem tam z Mamą na jeden dzień w odwiedziny. Pamiętam, że babka leżała w łóżku obłożnie chora. Mieszkanie było ciasne i zawałone meblami.

Z chwilą gdy Lonek zaczął pracować, a ja rozpocząłem naukę w szkole artystycznej, porzuciliśmy handel papierosami.

Któregoś popołudnia szedłem sobie ulicą Sykstuską w stronę Poczty Głównej. Będąc na dole w pobliżu wałów usłyszałem strzał i ujrzałem zbiegowisko. Bałem się tam podejść, ale ludzie mówili, że zastrzelono jakiegoś gestapowca. Spodziewano się oblawy, więc szybko poszedłem do domu.

Ojciec po powrocie wieczorem z miasta opowiadał nam przy kolacji wesołe dowcipy polityczne dla podtrzymania nas na duchu. Niemcy mieli trudności na froncie wschodnim. Po ich stronie walczyły z Rosjanami wojska węgierskie, rumuńskie, Litwini i podobno jakaś „błękitna brygada” z Hiszpanii. Na ulicach Lwowa widywaliśmy dużo lotników, widocznie gdzieś pod miastem musiało być lotnisko.

Od zimy 1943/1944 roku wieczorami przychodziła do nas znajoma Ojca, pani Zosia Łobarzewska. Zaczęła nas uczyć literatury polskiej i innych przedmiotów w zakresie gimnazjum. Przynosiła specjalnie dobrane lektury, między innymi powieści Żeromskiego. Od jakiegoś czasu przyjeżdżał do nas z Krakowa wujek Alojzy, mąż Maryli, dalszej krewnej Ojca. Był kelnerem w pociągu niemieckim kursującym z Krakowa do Lwowa. Nie miał tutaj znajomych więc uzgodnił z Ojcem, że będzie przyjeżdżał na noc do nas, by się przespać. Wcześniej rano wracał do Krakowa. Witaliśmy go zawsze z radością, bo przywoził jakieś artykuły żywnościowe od ciotki – czasem kurczaka, który był wówczas rarytasem.

Krażyły straszne wieści, że po wsiach Ukraińcy mordują ludność polską. Niektóre wioski polskie potrafiły zorganizować obronę.

Popołudniami lubiłem grywać na pianinie łatwe melodie ze słuchu lub z nut. Wieczorami wygrzewałem się przy kaflowym piecu słuchając wykładów Zosi Łobarzewskiej.

W miejscowej gazecie, ukazującej się w języku polskim – tzw. szmatławcu – poinformowano mieszkańców Lwowa, że w razie nalotu będą wygaszane światła. Pewnej nocy, w lutym albo w marcu o godz. 9 wieczorem siedzieliśmy przy kolacji, gdy nagle żarówka zaczęła stopniowo przygasać. Wtedy wszyscy zabraliśmy przygotowane wcześniej walizki ze swoimi rzeczami i zeszliśmy do piwnicy. Po kilkunastu minutach nastąpiła cisza i wróciliśmy na górę. Z daleka słyszeliśmy pojedyncze wybuchy bomb.

Na Wielkanoc przyjechała ciocia Maryla z wujkiem. Przywiozła nam wielką kurę. Tego samego dnia wieczorem znów był nalot. Zeszliśmy do piwnicy, ale tym razem nikt się specjalnie nie bał, bo odgłosy wybuchów były bardzo dalekie. Ciocia szczególnie upodobała sobie mnie i namawiała na wyjazd z nią do Krakowa. Mówiła, że tam jest ich córka, więc będę miał towarzystwo, a poza tym ulę rodzicom. Czekałem co powie Ojciec, on jednak chciał, żebym sam zdecydował. Ja wolałem zostać w domu z rodziną.

Raz lub dwa razy w miesiącu odwiedzał Ojca znajomy, pan Tyszkiewicz – podobno adwokat, którego żonę wywieziono do obozu w Oświęcimiu. Przynosił ze sobą artykuły żywnościowe kupowane gdzieś na wsi, albo na targu. U nas w domu pakował to wszystko z pomocą Mamy. Tak przygotowaną paczkę ja zabierałem na Poczcie Główną i wysyłałem.

Przy rogu ulic Leona Sapiehy i Sykstuskiej stała ładna willa, podobna do pałacyku. Ogrodzona była żelaznymi prętami. Zajmowali ją żołnierze włoscy (może był to jakiś sztab?). Przed budynkiem spacerowało zawsze dwóch wartowników w czapkach z dużym, czarnym piórem. Każdy z nich nosił na pasku mały karabinek. Po jakimś czasie, kiedy upadły rządy Mussoliniego stwierdziłem, że ich już nie ma. Widocznie wrócili do Włoch, albo trafili do jakiegoś obozu jenieckiego.

W połowie czerwca 1944 roku byliśmy z bratem Lonkiem bierzmowani w kościele Św. Magdaleny. Było to wielkie przeżycie dla nas obu. Na ulicach odczuwało się wówczas nerwową atmosferę – zbliżał się front. Kiedyś w niedzielę Ojciec wysłał mnie z powiadomieniem do pana Kuźmińskiego, swego podwładnego. Dał mi zwitek papieru ze słowami: „Ten zwitek masz dostarczyć Kuźmińskiemu, ale musisz go trzymać w czasie drogi w ustach. Gdyby w tramwaju była rewizja, to od razu go połknij”. Podszedłem do sprawy bardzo poważnie. Zwitek włożyłem pod język i pojechałem pod wskazany adres. Oczywiście kartki z adresem nie brałem. Ojciec pokazał mi na planie jak mam tam dotrzeć. Dojechałem do tego domu i zastukałem w bramę w umówiony sposób. Po chwili otworzyła mi jakaś kobieta. Powiedziałem jej od kogo przychodzę i wszedłem do środka. Poszliśmy korytarzem do pokoju. Tam

czekał pan Kuźmiński, któremu przekazałem wiadomość od Ojca. W pokoju okna były zasłonięte papierowymi zasłonami. Na długim stole ustawiony był na nóżkach karabin maszynowy, przy którym stało czterech lub pięciu młodych mężczyzn. Domyślałem się, że byli to podchorążowie szkoleni przez Kuźmińskiego. Po chwili opuściłem to mieszkanie i z ulgą wróciłem do domu.

Któregoś dnia Ojciec zapytał mnie i Lonka czy chcielibyśmy wstąpić do Szarych Szeregów. Oczywiście chcieliśmy. Poszliśmy pod wskazany adres na ulicę Leona Sapiehy, za Politechnikę. Poznaliśmy tam młodego człowieka – podobno był podporucznikiem. Przeprowadził z nami wstępną rozmowę i ustalił wizyty – raz, albo dwa razy w tygodniu. Zbierało się nas tam kilka osób, ale musieliśmy przychodzić pojedynczo w odstępach paru minut. Odbywaliśmy lekcje trwające około godziny. Podporucznik (nazwiska nie pamiętam) uczył nas odczytywania map wojskowych. Po paru lekcjach przyniósł nawet pistolet, którym uczyliśmy się posługiwać. Ćwiczyliśmy także rozkładanie broni. Później nasz dowódca zaproponował, żebyśmy wybrali sobie jakieś pseudonimy. Mieliśmy być zaprzysiężeni. Na obrazku z bierzmowania miałem postać św. Augustyna, więc to imię wybrałem jako swój pseudonim.

W połowie lipca część Niemców, którzy pracowali we Lwowie, zaczęło wyjeżdżać na zachód. Front był już niedaleko, słychać było od wschodu salwy artyleryjskie. Rozmowy przy kolacji w naszym domu toczyły się głównie wokół spraw wojskowych i przyszłości rodziny. Ojciec już przestał pracować, a jego biuro zostało zamknięte. Idąc kiedyś obok więzienia Łąckiego zauważyłem, że nie ma już wartownika. Coraz częściej widywaliśmy kompanie zmęczonych żołnierzy niemieckich, zmierzające w kierunku dworca. Pod koniec lipca 1944 roku z ciekawością oczekiwaliśmy na nadchodzące zmiany...

Wyzwolenie

Lwów – moje ukochane miasto, gdzie przeżyłem z rodziną większą część niemieckiej okupacji. Koniec lipca 1944 roku, gorączka oczekiwania. Od wschodu codziennie słyszało się głucho dudnienie, jakby dalekie grzmoty zwiastujące burzę. Chodziłem ze starszym bratem po ulicach. Poznawaliśmy różnice, jakie zaszły w naszym mieście po ostatnich bombardowaniach. Miałem wtedy piętnaście lat...

Niemcy wycofywali się z miasta. Pewnego popołudnia z balkonu naszego mieszkania, które znajdowało się na parterze, zauważyłem, że na podwórzu zaczęło napływać wielu uzbrojonych Niemców. Rękawy koszul podwinięte do łokci, na głowach hełmy. Już z daleka zauważyłem, że są śmiertelnie zmęczeni. Siadali na stopniach schodów lub wprost na ziemi. Ich dowódca cały czas chodził w środku i rozglądał się po ścianach kamienic. Prawdopodobnie obawiał się, że ktoś może do nich strzelać. Po kilkunastu minutach gardłowym głosem wydał jakąś komendę. Poderwali się wszyscy, założyli hełmy na głowy i dwójkami wyszli na ulicę. Wieczorem nasiliła się strzelanina. Niemcy razili miasto ogniem artyleryjskim. Nie były to ciężkie pociski i dlatego nie musieliśmy schodzić do piwnicy. Gdy się uciszyło, wyszliśmy z bratem z domu i w narożnej kamienicy na wysokości piwnicznego okna ujrzelśmy wielką wyrwę po pocisku armatnim. Następnego dnia nie mogłem usiedzieć w domu. Obszedłem naszą kamienicę dochodząc do ulicy Leona Sapiehy, naprzeciw więzienia Łąckiego. Zatrzymałem się przed jednym z domów i wszedłem na klatkę schodową. Stała tam dozorczyńni ze swoją rodziną i jeszcze kilka osób. Przy krawężniku znajdowało się umocowane działo przeciwpancerne. Obok siedziało chyba trzech radzieckich żołnierzy w furazerkach. Dozorczyńni krzyknęła do mnie, żebym tam nie podchodził, bo zaraz będą strzelać. Wszyscy ukryliśmy się w sieni...

Chyba to był niemiecki snajper, bo padł strzał i siedzący na chodniku Rosjanie zaczęli nas wołać. Okazało się, że jeden z nich był ranny w pierś. Z kamienicy wyskoczyło parę osób, które pomogły przenieść ciało rannego do mieszkania dozorczyńni. Położono go na kanapie. Patrzyłem na rannego rozszerzonymi z przerażenia oczami. Pochyliłem się nad nim, a w tym momencie on zdarł prawą ręką kolorową odznakę z munduru i po rosyjsku powiedział: „masz, to dla ciebie”. Nie czekałem już co będzie dalej. Chwyciłem odznakę i tą samą drogą, którą tam przyszedłem, wróciłem do domu. Na szczęście było już cicho. Nie było słychać żadnych wystrzałów.

W domu panowała nerwowa atmosfera. Krążyły plotki rozsiewane przez Ukraińców, że od zachodu nacierają na Lwów ich oddziały i mordują Polaków. Nie wiedzieliśmy co robić – uciekać czy siedzieć w domu? Ojciec zachowywał stoicki spokój. Nazajutrz okazało się, że były to rzeczywiście tylko plotki.

Niemcy wycofywali się z miasta. Front posuwał się na zachód za nimi. Przez dzień lub dwa we Lwowie nie widzieliśmy żołnierzy. Wyszliśmy z bratem na pobliski skwer z zdeptanym trawnikiem i zniszczonymi ławkami. Między skwerem a kościołem Św. Magdaleny, na małym wzniesieniu ciągnęła się ulica Sykstuska. Wczoraj stał tam niemiecki czołg ostrzeliwując nacierających żołnierzy radzieckich. Dziś już go nie było. Weszliśmy z bratem do budynku, w którym kiedyś mieściła się siedziba organizacji Todt. Na klatce schodowej z przerażeniem odkryliśmy martwego człowieka w cywilnym ubraniu.

Następnego dnia do Ojca przy szedł jakiś mężczyzna. Chyba był to jego podwładny z AK. Ojciec powiedział coś do Matki i szykował się do wyjścia. Poprosiłem go, żeby mnie zabrał ze sobą. Chętnie się

zgodził. Wyszliśmy razem na ulicę Leona Sapiehy kierując się w stronę Politechniki. Po drodze Ojciec i ów nieznaną mężczyznę założyli sobie na lewe ramiona biało-czerwone opaski z czarnym napisem AK. Ja również założyłem sobie taką samą opaskę. Skręciliśmy w boczną uliczkę za szpitalem, przeszliśmy kilkaset metrów w dół, dużym łukiem okrążyliśmy więzienie Łackiego i znajdujący się niedaleko szpital wojskowy – oczywiście teraz już opustoszały. Nie pytałem Ojca, ale wiedziałem, że jest to patrolowanie tego rejonu. Nie widziałem, żeby miał przy sobie broń. Po godzinie wróciliśmy do domu. Nieznajomy mężczyzna po drodze pożegnał się z nami. Z rozmowy, jaką wcześniej prowadził z moim Ojcem wynikało, że Ukraińcy bronią się jeszcze w kościele św. Jura i w pobliskim parku. Kilka dni później już ich tam nie było – zostali wyparci przez akowców.

Nastąpiła radość wyzwolenia, euforia. Na ulicach widywało się tłumy żołnierzy radzieckich, wśród nich wiele umundurowanych kobiet. Zauważyłem, że byli ubrani znacznie lepiej niż w roku 1940, kiedy widziałem ich w Kołomyi. Mieli czyste koszule wypuszczane na spodnie i spięte pasem, a na nogach skórzane buty wojskowe. Wszyscy rozśpiewani i roztańczeni. W budynku dawnego kina „Odeon”, naprzeciw naszego domu, urządzono teraz scenę, na której występowały wojskowe zespoły muzyczne. Często tam przychodziłem i z wielkim zaciekawieniem oglądałem rosyjskie tańce przy akompaniowaniu harmonijki. Język rosyjski pamiętałem trochę z 1940 i 1941 roku, a po paru tygodniach rozumiałem już prawie wszystko.

Lato szybko minęło. Nadszedł wrzesień. Rodzice zapisali mnie i braci do odległej szkoły. O ile pamiętam była to ósma klasa rosyjskiego systemu. Chodziłem ze starszym o rok bratem do jednej klasy. Była ona przepelniona młodzieżą. Ja z własnego wyboru zapisałem się dodatkowo na lekcje łaciny. Odbywały się one w innej klasie i o innej porze.

Mijały miesiące. W domu Ojciec zaproponował nam naukę języka niemieckiego i angielskiego (oba znał doskonale) oraz stenografii. Starszy brat nie bardzo był tym zainteresowany, ale ja przyjąłem propozycję z radością. Stało się na tym, że stenografii Ojciec uczył tylko mnie, a w angielskim szkoliliśmy się razem z bratem. Poznawaliśmy język poprzez dialogi, wykorzystując do tego celu podręcznik Berlitz. Te dialogi chętnie powtarzaliśmy z bratem na głos jadąc na przykład tramwajem. Ludzie przyglądali się nam, jakbyśmy byli synami dyplomaty angielskiego.

Nauka w szkole szła nam dobrze, gdyż w ciągu kilku ostatnich lat uczyliśmy się na tajnych kompletach. Dużo zawdzięczaliśmy pani Zosi Łobarzewskiej, dzięki której nasze wykształcenie osiągnęło poziom gimnazjum, a nawet liceum. Poznawaliśmy twórczość Żeromskiego, Krąszewskiego, Sienkiewicza i wielu innych pisarzy. Do szkoły, jak wspominałem, mieliśmy daleko. Wsiadało się w tramwaj przy więzieniu Łackiego i jechało ulicą Leona Sapiehy aż do kościoła św. Elżbiety. Tam wysiadałem. Po drodze przy skrzyżowaniu z ulicą Bajki stała kamienica zbombardowana w taki sposób, że widać było ściany pokoiów na każdym piętrze odsłonięte jakby cięciem skalpela. W pamięci utkwiło mi szczególnie pewne wydarzenie z początkowych miesięcy nauki. Do naszej klasy przyszedł wykładowca botaniki. Gdy go zobaczyłem, trąciłem łokciem siedzącego obok mnie brata. W nowym nauczycielu obaj rozpoznaliśmy tego samego młodego mężczyznę, który podczas okupacji niemieckiej udzielał nam – członkom Szarych Szeregów – lekcji z topografii i przedmiotów wojskowych. Mieszkał przy ulicy Leona Sapiehy, niedaleko Politechniki. Bardzo się ucieszyliśmy widząc starego znajomego jako nauczyciela w naszej szkole. Zajęcia zaczął od odczytania listy uczniów. Każdy wywołany musiał wstawać. Gdy doszedł do naszego nazwiska, zatrzymał się na chwilę i nieznacznie mrugnął do nas z katedry.

Z okresu okupacji radzieckiej pamiętam smutne wieczory. Cały czas mówiło się, że kogoś aresztowali. Żyliśmy w ciągłej obawie, że mogą nas wywieźć na Sybir. Wielką rodzinną tragedią było aresztowanie w Obertynie dziadka, Franciszka Kowalskiego z ciotką Skibską i kuzynem Staszkiem Dolińskim. Teraz, w 1944 roku byłem przekonany, że Rosjanie są naszymi sojusznikami, bo razem z państwami zachodnimi walczą przeciwko Niemcom. Oczywiście zachowanie ich było zupełnie inne niż trzy lata wcześniej. Widocznie dostali polecenie, żeby do ludności polskiej odnosić się przyjaźnie. Jednym słowem – dali się lubić. Mój stosunek do nich zmienił się dopiero po przykrym przeżyciu, które spotkało mnie pewnego dnia. Jadąc tramwajem z naszego przystanku przy więzieniu Łackiego w dół ulicy, z powodu tłoku uczepiłem się poręczy na zewnątrz. Wielu z nas jeździło wówczas w taki sposób. Dojechałem dwa przystanki do ulicy Kopernika pod Poczta Główną. W tym momencie stojący na stopniach wyskoczyli, żeby zrobić miejsce wysiadającym. Nie zdążyliśmy wsiąść z powrotem, gdyż nagle z bramy kamienicy wyszli jacyś żandarmi rosyjscy w kozuchach (było to zimą) i otoczyli naszą grupkę. Było ich chyba czterech, bez karabinów a tylko z bronią boczną. Zaprowadzili nas do odległego o kilkaset metrów więzienia. Wewnątrz zostaliśmy zrewidowani, zabrano nam paski, sznurowadła i inne przedmioty. Znalazłem się w celi, gdzie przebywało już kilku mężczyzn. Były to jakieś podejrzane typy – złodzieje, przemytnicy. Pochodzili chyba ze wschodu, bo mówili z obcym akcentem. Spaliśmy pod ścianą na słomianych matach. Dwa razy dziennie – rano i po południu dostawaliśmy miski z jakąś zupą. Trwało to około dwóch tygodni. Byłem załamany psychicznie. Zastanawiałem się, czy odnajdzie mnie tu moja rodzina. Zacząłem się modlić... Szczęście mi dopisało, bo po dwóch tygodniach zawołano mnie do dyżurki i po zwróceniu rzeczy osobistych wypuszczono na wolność. Na zewnątrz czekał Ojciec.

Z radością rzuciłem mu się na szyję. Po drodze prawie się nie odzywał i o nic nie pytał. Powiedział tylko, że Matka bardzo przeżywała moje uwięzienie.

Repatriacja

Kilka miesięcy po zakończeniu wojny, w wakacje 1945 roku, chodziły po mieście pogłoski, że Polacy mogą się zapisywać na wyjazdy do Polski. Zamieszczano ogłoszenia w miejscowej prasie, na słupach rozklejano ulotki. Rodzice moi oczywiście zgłosili chęć wyjazdu. Powoli zaczęliśmy się pakować. Podobnie postąpiła większość Polaków ze Lwowa. Dowiedzieliśmy się, że nasz pociąg miał się nazywać „transportem nauczycielskim”. Widocznie mieli nim jechać nauczyciele ze swoimi rodzinami. Na miesiąc lub dwa przed planowanym na październik 1945 roku wyjazdem do Polski, Ojciec zaczął wyprzedawać niektóre meble i sprzęt domowy. Pamiętam, że był u nas w mieszkaniu jakiś pułkownik radziecki, który kupił pianino. Rodzice starali się zebrać jak najwięcej pieniędzy na podróż i możliwie jak najmniej zostawić. Pozostawione rzeczy miały przepaść bezpowrotnie bez jakiegokolwiek odszkodowania. Wszyscy pakowaliśmy do walizek to co najcenniejsze. Ja do skórzanego kuferka, jaki kiedyś nosili lekarze, włożyłem swoje „skarby”, a wśród nich pamiętnik. Obaj ze starszym bratem pisaliśmy pamiętniki jeszcze od lat przedwojennych.

Nadszedł dzień wyjazdu. Przed południem Ojciec kupił czy wynajął dwukołowy wózek ręczny z długim dyszlem. Ciągnęliśmy go ulicą Leona Sapiehy do kościoła św. Elżbiety i dalej do dworca na bocznicy kolejowej. Zrobiliśmy chyba ze trzy takie kursy, bo rzeczy mieliśmy sporo. Pamiętam, że wieźliśmy materace, parę tobołków z pościelą. Ojciec zapakował dużo książek do drewnianych skrzynek i wszystkie ubrania. Transport urządziliśmy w ten sposób, że na bocznicy kolejowej została jedna osoba do pilnowania rzeczy, ja z Ojcem i starszym bratem zająłem się przewozem, a reszta rodziny pilnowała dobytku w mieszkaniu. Gdy znaleźliśmy się wszyscy na bocznicy z tobołami i skrzynkami, nasz wózek ktoś odebrał. Po dłuższym czasie podstawiono bardzo długi pociąg, złożony z krytych wagonów towarowych. Było też chyba trochę wagonów odkrytych. Załadowaliśmy się do jednego z krytych i zajęliśmy całą jego lewą połowę. Prawa przypadła jakiejś innej rodzinie. Skrzynie i paczki ułożyliśmy na dnie wagonu, na to poszły materace i tobołki z pościelą, którą potem rozłożyliśmy, bo zbliżał się wieczór. Swoją torbę zawiesiłem nieopatrznie na drągu łączącym obie połowy drzwi. Przed odjazdem pociągu chciałem coś z niej wziąć i wtedy stwierdziłem, że torby nie ma. Widocznie jakiś złodziej ściągnął mi ją przechodząc obok. Najbardziej żałowałem swojego pamiętnika.

Cała ta podróż była dla mnie wielką, niecodzienną przygodą, chociaż moja rodzina odczuła ją jako dramat. Miliony Polaków musiało opuścić swoje strony! Straciliśmy nasze odwieczne kresy wschodnie.

Pociąg ruszył i z wolna zaczął się posuwać w kierunku zachodnim. Wlókł się tak wolno, że można było z niego wyskoczyć bez żadnej obawy. Tylko czasem przyspieszał, lecz na krótko. Jechaliśmy tak całą noc. Próbowaliśmy zasnąć, ale było zbyt niewygodnie. Rano pociąg zaczął powoli hamować. W końcu zatrzymał się i z lokomotywy ktoś przekazał wiadomość, że będziemy stać pół godziny czy nawet godzinę. Wreszcie mogliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza, rozprostować nogi i załatwić potrzeby fizjologiczne. Mama wyciągnęła z wagonu maszynkę spirytusową (tzw. „prymus”) i zagrzała nam wodę na herbatę. Zjedliśmy kanapki i zaraz lokomotywa dała gwizdem sygnał do odjazdu. Wszyscy pospiesznie weszli do swoich wagonów i pociąg ruszył.

Wiedziałem o grasujących na południu Polski bandach ukraińskich i cały czas obawiałem się, żeby nas w drodze nie zatrzymali jacyś banderowcy. Miałem bujną wyobraźnię, która podsuwała mi najgorsze myśli. Gdy wjechaliśmy na tereny Małopolski, z zaciekawieniem oglądałem mijane miasta i wsie. Nocą iskrzyły się światła osad. Po stronie rosyjskiej wsie i mniejsze miasta w nocy były niemal zupełnie ciemne.

Minęliśmy Rzeszów, Tarnów. Korzystaliśmy z każdej chwili postoju pociągu, przygotowując sobie gorącą herbatę i coś ciepłego do zjedzenia. Czasem chodziliśmy do lokomotywy po wodę do mycia. Na szczęście pogoda była ładna, ale tylko w dzień – noce były chłodne. Nieraz nad ranem budziłem się skostniały, chociaż przykryty byłem kołdrami, kocami i przeważnie spałem ubrany. Chyba trzeciego dnia znaleźliśmy się na dworcu w Krakowie. Tu już zauważało się wielkomiejskie życie – Zachód. Na peronach tłumy ludzi i kolejarze w polskich czapkach. Po dłuższym postoju pociąg ruszył w stronę Katowic, gdzie mieliśmy się osiedlić.

Wczesnym rankiem piątego dnia podróży zajechaliśmy na bocznicy dworca kolejowego w Katowicach. Ci, którzy chcieli tu pozostać, zaczęli się powoli wypakowywać. Większość przesiedleńców miała jechać dalej, aż na Ziemię Odzyskaną, bo tam głównie wywożono repatriantów. Wyszliśmy na bocznicy całą rodziną wraz z dobytkiem. Ojciec poszedł szukać kogoś z Komitetu Repatriacyjnego, zajmującego się przybywającymi ze wschodu Polakami. W Katowicach mieszkała ciotka Maryla, która przyjeżdżała do nas do Lwowa podczas okupacji niemieckiej. Ojciec miał jej adres. Po przybyciu do Katowic poszedł ją odwiedzić. Mama była nauczycielką, więc wysłano po nas z jakiejś szkoły niewielki

samochód ciężarowy, do którego załadowaliśmy się ze wszystkimi rzeczami. Jechaliśmy krótko, może kilkanaście minut, długą ciasną ulicą. Dotarliśmy do szkoły położonej głęboko w podwórzu. Wypakowaliśmy wszystkie nasze tobołki i złożyliśmy w jednej z klas. Tam też nocowaliśmy. Następnego dnia przyszedł Ojciec z ciotką Marylą, wujkiem Alojzym i ich córką Liżą. Ciotka pytała mnie, czy chciałbym zamieszkać u niej, aby ulżyć rodzinie w początkowym okresie pobytu w Katowicach. Widząc w jak trudnej znajdujemy się sytuacji zgodziłem się na jej propozycję. Narzuciłem na siebie tylko płaszcz, bo wszystkie moje rzeczy zginęły we Lwowie przed wyjazdem, pożegnałem się z rodzicami i pojechałem z ciotką. Zamieszkałem z wujostwem przy ulicy Zaborskiej 12 na drugim piętrze. Tam przebywałem przez pierwsze dni czy tygodnie. Prawie codziennie z kuzynką Liżą odwiedzałem swoją rodzinę, która nadal mieszkała w szkole. Rodzice poprzez Komitet Repatriacyjny dowiadywali się na temat możliwości uzyskania jakiegoś mieszkania, Ojciec starał się o pracę w banku. Po pewnym czasie przyjęty został do Banku Gospodarstwa Krajowego przy ulicy Mickiewicza. Wkrótce otrzymaliśmy mieszkanie przy ulicy Mariackiej, na parterze w kamienicy. Była to dosłownie nora. Kamienica wybudowana została chyba jeszcze w XIX wieku. W mieszkaniu był długi przedpokój, po lewej stronie znajdowała się duża kuchnia z piecem na węgiel, nieduży pokój, z którego przechodziło się do następnego. Okna obu pokoi wychodziły na brudne, śmierdzące i zaśmiecone podwórko. Coś okropnego! W porównaniu z naszym lwowskim mieszkaniem nowe robiło koszmarnie wrażenie.

Przeniosłem się od ciotki Maryli do rodziców i zacząłem uczęszczać do trzeciej klasy gimnazjum ogólnokształcącego przy ulicy Mickiewicza. Ojciec stopniowo otrzymywał z banku różne meble.

Teraz każdy miał żelazne łóżko z materacem, w kuchni była ława, „w dużym pokoju jakieś stare krzesła. W tym trudnym okresie dostawialiśmy paczki z UNRRA, które pozwalały rodzinie przeżyć zimę. Ze starszym bratem wzięliśmy mały, czterokołowy wózek i pojechaliśmy do pobliskiej kopalni. Kupiliśmy tyle węgla, że starczyło do wiosny. Powoli asymilowaliśmy się w nowym otoczeniu, choć w głębi serca pozostał Lwów – ukochany i niezapomniany...